



Notatka o „żołnierzach wyklętych”

Czynniki urzędowe, jak i związane z nimi środowiska historyków szeroko rozwinęły w ostatnich dwóch latach temat „żołnierzy wyklętych”. Powstaje więc pytanie, czy należy w jakiejś formie wskazać na kłopoty związane z nazbyt niekiedy niefrasobliwą retoryką?

Termin „żołnierze wyklęci” pojawił się w latach dziewięćdziesiątych, przy czym nie do końca wiadomo, wedle jakich kryteriów został stworzony. Obecnie jest on nadużywany. Czy mamy go definiować tylko na płaszczyźnie oddziałów partyzanckich, nb. różnej maści, istniejących w latach 1945–1948 (po roku 1948 były to już tylko niedobitki „chłopców z lasu”), czy odnosić również do form oporu politycznego, także różnorodnego, silnego jeszcze przynajmniej do końca 1947 r.?

Jeżeli chcemy się ograniczyć do działań wywodzących się, mniej lub bardziej, ze środowiska Armii Krajowej bądź ugrupowań skrajnie prawicowych (tradycja NSZ I czy NSZ II itd.), to musimy wyróżnić – dla lat 1945–1948/1949 – następujące główne możliwości operowania omawianym terminem:

1. WiN – spadkobierca rozwiązanej formalnie Armii Krajowej. Z przyczyn co najmniej niejasnych, być może dlatego, że kierownictwo WiN-u widziało wyrażenie brak szans na walkę zbrojną wobec sił Armii Czerwonej i aparatu represji polskich władz komunistycznych, kładło ono nacisk nadal na działania konspiracyjne, ale z unikaniem konfrontacji zbrojnej jako metody działania. O WiN-ie wiemy dziś stosunkowo wiele dzięki materiałom publikowanym przez wiele lat w Krakowie. Pozwolę sobie przypomnieć moje ustalenia, że WiN stworzyło czterech ludzi: L. Muzyczka i J. Rybicki przedstawili wstępną koncepcję swojemu szefowi, czyli J. Rzepeckiemu, plus A. Sanojca; te osoby podjęły w Krakowie decyzję wstępną, która u progu września 1945 r. została sformalizowana na spotkaniu w Warszawie, gdzie ustalono skład I Zarządu WiN-u. Można oczywiście, z dalekiej już perspektywy historycznej, powiedzieć, że twórcy WiN-u nie byli realistami; liczyli na możliwość wywalczenia pewnego chociaż minimum wpływów niekomunistycznych (realnie S. Mikołajczyka) w szybkich wyborach, które przecież, zgodnie z decyzjami Jałty, miały być przeprowadzone w 1946 r. Można dziś też powiedzieć, że cała koncepcja Mikołajczyka była w istocie kosztownym dla kraju brakiem realizmu. Nb. jako młody harcerz najstarszej krakowskiej wówczas drużyny harcerskiej Gimnazjum Nowodworskiego brałem udział w powitaniu Mikołajczyka podczas jego pierwszej wizyty w Krakowie; był to chyba lipiec 1945 r. Wiemy dzisiaj, że żadnej decyzji pozwalającej na jakikolwiek minimalny sukces wobec władzy „radzieckiej” w Polsce nie było. Innym rozwiązaniem było pójście do pracy organicznej, ale *nolens volens* w służbie reżimu (tak zrobiło gros społeczeństwa już od 1946 r.), co jednak dawało szansę na pewne sukcesy personalne tylko do końca 1948 r. Ostatnią możliwością była kontynuacja walki zbrojnej, przy czym dowódcy najczęściej już zdawali sobie sprawę z tego, że jest to walka straceńców.

2. Obok WiN-u i formalnie mu podlegających, mniej lub bardziej, struktur wojskowych w terenie, mamy różnego rodzaju samodzielne organizacje partyzanckie, które nie chciały nikomu podlegać, bądź straciły formalne kontakty w kraju i za granicą. Obok tych poakowskich struktur działały także prawicowe oddziały i sieci konspiracyjne, związane od 1945 r. bądź z tradycjami różnych odłamów NSZ, bądź formalnie związane ze strukturami podziemnymi Stronnictwa Narodowego.

3. Najtrudniejszy problem, niestety tragiczny, ale nieunikniony, jeżeli chcemy zgodnie z faktami przedstawiać tragedię „chłopców z lasu” (wolę ten termin od terminu „żołnierze wyklęci”, także dlatego, że póki trwała w kraju swego rodzaju wojna domowa i kiedy znaczny procent ludności – nawet jeżeli w pełni bierny czy zastraszone – był ciągle przeciwny władzy komunistycznej, to „chłopcy z lasu” nie byli „żołnierzami wyklętymi”), polegał na tym, że znajdowali oni silne poparcie na wsi i w miastach, zwłaszcza na terytoriach, które poznały władzę sowiecką w latach 1939–1941 (Białostockie, Lubelskie, część Małopolskiego, Kieleckie, Mazowsze), natomiast ludność rdzenna terytoriów włączonych w czasie wojny do Rzeszy Niemieckiej (Śląsk, Wielkopolska, Pomorze) najwcześniej zaczęła „chłopców z lasu” traktować jako „żołnierzy wyklętych”. Znam liczne relacje pomorskie z lat 1945–1946, kiedy przenoszone na ten teren działania partyzantów i konspiracji, generalnie wileńskich, napotykały na niezrozumienie i krytykę miejscowej ludności, Kaszubów czy Polaków. Dziś dobrze znany jest fakt, że z czasem na całym terytorium ówczesnego PRL-u od pewnego momentu (nasilenie represji policyjnych, zmęczenie ludzi konspiracjami, strach przed terrorem itd.) wszelkie, coraz rzadsze i trudniejsze, działania partyzanckie napotykały na niechęć społeczeństwa. I tu rzeczywiście, niestety, owi „żołnierze wyklęci”, tracąc poparcie miejscowej ludności, coraz częściej trwali w walce o własne przetrwanie z wszelkimi elementami demoralizacji ludzi broniących sprawę przegranej. Nie można więc ograniczać się do gloryfikowania tych dowódców regionalnych i ich ostatnich wiernych podwładnych (nie zawsze wiernych w rozumieniu spraw dnia codziennego), ale trzeba ukazać tragedię tych ludzi, nie ukrywając elementów wątpliwych czy nieraz żalonych – rekwizycje przechodziły w działania quasi-rabunkowe; życie człowieka w warunkach walki bez szans na powodzenie było niewysoko oceniane; problem, kto jest wrogiem, także pozostawał nieraz niejasny; bywało, że w sytuacjach bez wyjścia mszczono się bez rozważania. Jeżeli jakiś historyk ciągle tego nie widzi, radziłbym postudiować procesy demoralizacji i tragedii ostatnich bojowników PPS Frakcji Rewolucyjnej, czyli ludzi Piłsudskiego, w momencie ostatecznego załamania się rewolucji 1905 r. w Królestwie (są opracowania napisane jeszcze przed II wojną oraz teksty literackie, np. Andrzeja Struga). Widzieć więc trzeba i tragizm epoki, i tragizm jednostek.

† STANISŁAW SALMONOWICZ

Tekst sprawdziła pod względem zgodności z manuskryptem, pozostawionym przez Profesora, pani profesor Danuta Janicka.

Wojny Rosji

Federacja Rosyjska od rozpadu Związku Radzieckiego wykorzystywała swój potencjał militarny jako instrument do osiągnięcia własnych interesów. Znaczenie instrumentarium militarnego wynikało z ekspansjonistycznych tradycji imperium rosyjskiego i radzieckiego, a także relatywnej słabości Rosji w innych obszarach. Federacja Rosyjska została uznana za spadkobiercę Związku Radzieckiego, dysponowała stałym miejscem w Radzie Bezpieczeństwa, niemniej była zapóźniona pod względem ekonomicznym i technologicznym. Wciąż jednak budziła respekt za sprawą swojego potencjału militarnego – zwłaszcza poradzieckiej broni jądrowej.

W ciągu 30 lat rosyjskie operacje przeszły zasadniczą ewolucję: od okazjonalnego wsparcia zbrojnego dla separatystów w nowo powstałych państwach poradzieckich (Abchazja w Gruzji, Naddniestrze w Mołdawii) we wczesnych latach 90. do otwartej agresji przeciwko uznanemu w swoich granicach państwu europejskiemu, jakim jest Ukraina, w 2022 r. Zmienił się również zasięg geograficzny rosyjskich operacji: w 1994 r. Rosja interweniowała w Czeczenii, dążąc do przywrócenia kontroli władz w Moskwie nad całością terytorium Federacji Rosyjskiej. W 2015 r. po raz pierwszy bezpośrednio zaangażowała się zbrojnie poza granicami b. ZSRR – w Syrii, gdzie wsparła w wojnie domowej prorosyjskiego prezydenta Baszara al-Asada.

Rosyjskie operacje wojskowe mają służyć osiągnięciu dwu zasadniczych celów. Na gruncie wewnętrznym – umocnieniu popularności rządzących. W tym kontekście „niewielka zwycięska wojenka” jawi się często jako najlepsze rozwiązanie, zwłaszcza gdy wskaźniki gospodarcze i popularności spadają. Tak było w przypadku pierwszej wojny w Czeczenii, która miała umożliwić reelekcję niepopularnemu Borysowi Jelcynowi, tak było i w przypadku drugiej wojny w tej republice, prawdopodobnie celowo wywołanej za sprawą przeprowadzonych przez rosyjskie służby ataków terrorystycznych na terenie Rosji, stanowiących pretekst do interwencji w Czeczenii w 1999 r.; to na tej wojnie Władimir Putin – wówczas premier, a następnie p.o. prezydenta zbudował swoją popularność. Tak było wreszcie w przypadku nielegalnej aneksji Krymu w 2014 r. – miejsca ważnego dla Rosjan z powodów nie tylko strategicznych (Flota Czarnomorska), ale i historycznych (wojna krymska, 1853–1856; oblężenie Sewastopola, 1941–1942), i sentymentalnych (wakacje na Krymie w okresie radzieckim). W sferze międzynarodowej agresywna polityka ma służyć uznaniu przez społeczność międzynarodową (zwłaszcza Zachód i państwa Europy Środkowej i Wschodniej) mocarstwowej pozycji Rosji, odbudowie rosyjskiej strefy wpływów w granicach b. ZSRR (szczególną rolę odgrywa tu „rosyjski świat”, w skład którego wchodzi rzekomo Rosja, Białoruś i Ukraina), a także rewizji pozimnowojennego ładu międzynarodowego, uważanego przez Rosję za niesprawiedliwy.

Coraz bardziej agresywna polityka zagraniczna jest skorelowana z przemianami wewnętrznymi w Federacji Rosyjskiej. Za sprawą działań propagandowych władz rosyjskich od czasów drugiej wojny czeczeńskiej rosyjskie społeczeństwo zasadniczo popiera prowadzone przez Rosję w kraju i poza jego granicami operacje wojskowe. U progu wojny przeciwko Ukrainie w 2022 r. w Rosji wprowadzono szereg drastycznych ograniczeń słowa, które miały uniemożliwić krytykę tej operacji, a zarazem zapewnić, że obywatele będą mieli dostęp do jedynie słusznych informacji na jej temat. Armia i sztuka wojenna stały się ponownie ważnym elementem rosyjskiej tożsamości. W ukraińskim internecie krąży żart, że gdy w święta Ukraińcy zakładają swoim dzieciom wyszywane koszule, Rosjanie – wojskowe mundury; dowcip ten nie jest pozbawiony prawdy.

Ważnym elementem rosyjskich operacji wojskowych jest ich nieprzejrzystość. Dotyczy to zarówno ich celów, sposobu prowadzenia działań („zielone ludziki” na Krymie i separatyści w Zagłębiu Donieckim w 2014 r.), a także towarzyszących operacjom wojskowym działań w przestrzeni informacyjnej. W tym kontekście warto przypomnieć, że w Polsce Rosja aktywnie wspierała ruchy antyszczepionkowe

i starała się podsycać konflikt polsko-ukraiński; w przededniu jej agresji przeciwko Ukrainie w 2022 r. wiele grup antyszczepionkowych w internecie zmieniło charakter, promując masowo treści o charakterze antyukraińskim, co potwierdza ich związki z Rosją. Wspomniana nieprzejrzystość jest powiązana z autorytarnym charakterem państwa rosyjskiego, który uniemożliwia publiczną kontrolę nad armią.

Z perspektywy międzynarodowej najbardziej charakterystyczną cechą rosyjskich wojen jest brak poszanowania dla prawa międzynarodowego: zarówno jeśli chodzi o prawo do prowadzenia wojny (*ius ad bellum*), jak i prawo wojenne czy prawo humanitarne (*ius in bello*). Nielegalna aneksja Krymu, wsparcie dla separatystów w Zagłębiu Donieckim, czy atak na Ukrainę w 2022 r. to podręcznikowe przykłady aktów agresji, sprzeczne z Kartą ONZ, zasadami KBWE/OBWE i porozumieniami zawartymi w ramach WNP, czy na zasadach dwustronnych pomiędzy Rosją a Ukrainą. Zbrodnie wojenne w Czeczenii, Syrii i Ukrainie, których ofiarą padła zwłaszcza ludność cywilna (mieszkańcy Groznego, Aleppo i Mariupola, by przywołać tylko najbardziej tragiczne przykłady), to jaskrawe przypadki naruszenia podstawowych aktów prawa humanitarne, w tym IV konwencji genewskiej z 1949 r., której Rosja jest stroną. Można sądzić, że systematyczne łamanie prawa jest elementem świadomej polityki władz rosyjskich, mającym na celu przede wszystkim zastraszenie mieszkańców zajmowanych ziem, ale także zapewnienie sobie lojalności własnych żołnierzy (możliwość szybkiego wzbogacenia się dzięki bezkarnej grabieży to w przypadku mieszkańców ubogiej rosyjskiej prowincji ważny argument; ponadto popełnione przestępstwa utrudnią rosyjskim żołnierzom zmianę stron lub opuszczenie służby) i podkreślenie wielkomocarstwowego statusu stawiającej się ponad prawem Rosji.

Pozostaje pytanie o efektywność rosyjskiej polityki rozumianej jako stosunek rezultatów do celów. W sferze wewnętrznej obecne kierownictwo Rosji zasadniczo osiągnęło swoje cele: m.in. wskutek agresywnej polityki zagranicznej Władimir Putin wciąż pozostaje u władzy (po raz pierwszy prezydentem został w 2000 r., na mocy obecnego ustawodawstwa może tę funkcję sprawować do 2036 r.). Rosja odzyskała również kontrolę nad Czeczenią, choć za cenę „czeczenizacji”, czyli przekazania władzy prorosyjskim watażkom: Achmatowi, a następnie Ramzanowi Kadyrowom. Ten ostatni, uznając zwierzchnictwo Putina, uczynił z Czeczenii udzielne księstwo, na podobieństwo terytoriów plemiennych w Pakistanie. Na arenie międzynarodowej efekty rosyjskiej polityki są bardziej ambiwalentne. Wojna w Gruzji w 2008 r. faktycznie wstrzymała proces akcesji tego kraju (a także Ukrainy) do NATO. Sojusz nie będzie skłonny przyjąć w swe szeregi państwa będącego w stanie konfliktu z Rosją – stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa i mocarstwem jądrowym; dotyczy to również przypadku Ukrainy AD 2022. Po wojnie rosyjsko-gruzińskiej Zachód po kilku miesiącach powrócił do polityki *business as usual* z Rosją. Federacja Rosyjska budziła respekt, ale nadal robiono z nią interesy, co odpowiadało władzom Rosji. Sytuacja uległa częściowej zmianie po nielegalnej aneksji Krymu i wybuchu wojny we wschodniej Ukrainie w 2014 r., i przede wszystkim w 2022 r., gdy Zachód po prostu uznał Rosję za państwo bandyckie. Na Rosję nałożono dotkliwe sankcje, za które – niezależnie od ich skuteczności w wymiarze politycznym – Rosja już teraz dużo płaci. Rosji nie udało się przekonać państw zachodnich do zmiany reguł gry, w szczególności cofnięcia procesu rozszerzenia NATO rozpoczętego w latach 90. i uznania Europy Środkowej i Wschodniej za rosyjską strefę wpływów. Trzeba jednak pamiętać, że to perspektywa zachodnia. Rosja nadal może liczyć jeśli nie na pełne poparcie, to przynajmniej na wyrozumiałość i zrozumienie wielu państw „globalnego Południa”, takich jak jej partnerzy z BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA), czy część państw G20. Putin i jego ekipa spodziewają się, że dzięki ich wsparciu, a przede wszystkim dzięki wytrzymałości zwykłych Rosjan, jakoś przetrwają u władzy.

ANDRZEJ SZEPTYCKI

Uniwersytet Warszawski
Instytut Strategii 2050

Umieralność członków Polskiej Akademii Umiejętności w liczbach rocznych

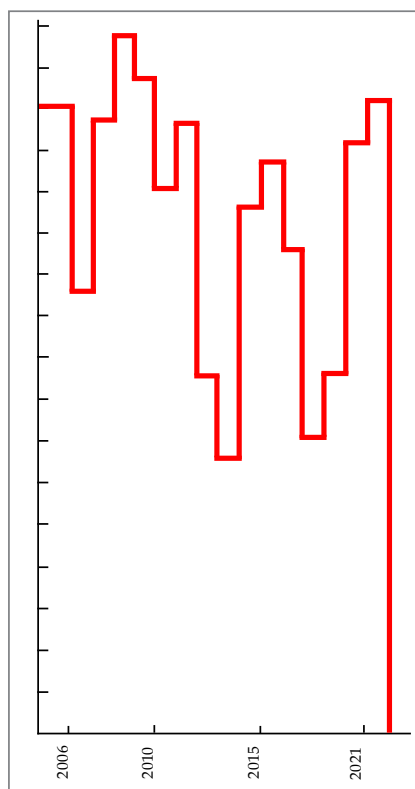
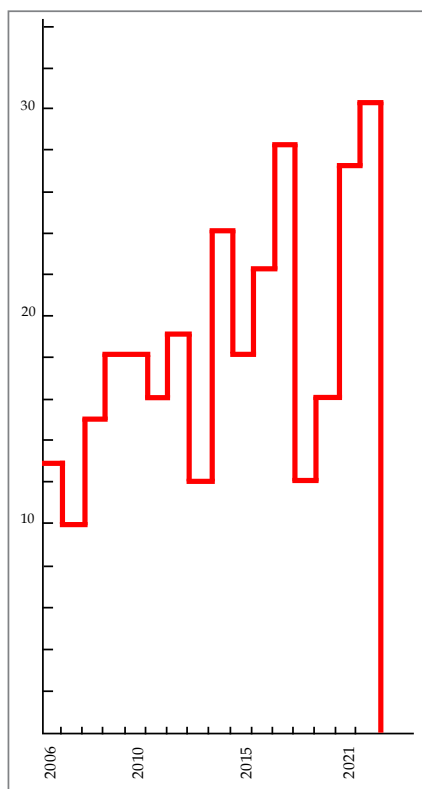
O śmierci mówimy niechętnie, cóż dopiero o odejściach członków szacownych akademii nauk, składających się z reguły z ludzi starszych, jeśli nie wiekowych. Przykrą podniecią do tych króciutkich uwag były słowa sekretarza generalnego PAU, prof. Szczepana Bilińskiego, który w sprawozdaniu opublikowanym w „Roczniku PAU” zwrócił nam uwagę, iż PAU w ostatnim roku straciła szczególnie dużo członków. W 2021 roku, który w całości przebiegał pod znakiem COVID-u, straciliśmy 30 członków, co stanowi w statystyce umieralności mierzonej w liczbach rocznych smutny rekord. Dlatego też policzyłem liczbę zgonów w ostatnich 15 latach, gdy PAU, po okresie wzrostu liczbowego związanego z przywróceniem działalności po 1989 roku, okrzepła w swoich stanach liczbowych, które z reguły oscylują teraz wokół liczby pół tysiąca członków. Liczba zmarłych w poszczególnych latach członków PAU przedstawia się następująco: 2006 – 13, 2007 – 10, 2008 – 15, 2009 – 18, 2010 – 18, 2011 – 16, 2012 – 19, 2013 – 12, 2014 – 24, 2015 – 19, 2016 – 22, 2017 – 28, 2018 – 12, 2019 – 16, 2020 – 27, 2021 – 30.

No cóż, oczywisty wydaje się niestety wpływ COVID-u, jeśli spojrzeć na liczby zgonów z lat 2020 (27) i 2021 (30) i porównać je np. z przedcovidowymi latami 2019 (16) czy 2018 (12). Z drugiej strony widać, iż mieliśmy i bez COVID-u lata mniej szczęśliwe, jak 2017 (28), i że już wcześniej zachodziły drastyczne wahania umieralności, np. między rokiem 2013 (12) a następującym po nim rokiem 2014 (24). Jednak nawet gdy połączymy liczby z dwóch następujących po sobie lat, to otrzymamy jako najwyższą liczbę 41 zgonów (2015, 2016), zaś w latach 2020 i 2021 zmarło, *horribile dictu*, 57 naszych członków.

Zapewne statystycy i lekarze powiedzą, iż pół tysiąca członków – z tego jedna trzecia rozrzucona po całym świecie – to zbyt wąta podstawa do dalej idących uogólnień. Zapewne jest w tym sporo prawdy, zresztą piszący te uwagi nie jest ani lekarzem, ani statystykiem. Jedno jest pewne: groźby wynikające z COVID-u nie wolno w żadnym wypadku lekceważyć. Pomyślmy o tym przed zbliżającą się jesienią i zimą.

SERGIUSZ MICHALSKI

Uniwersytet w Tybindzie



KOMENTARZ

Stosując zasadę „jeden rysunek mówi więcej niż tysiąc liczb”, skonstruowałem, na podstawie danych zebranych przez profesora Michalskiego, histogram pokazany na rysunku (lewa strona). Widać wyraźnie, że dominującą tendencją jest systematyczny, niemal liniowy, wzrost liczby zgonów z upływem lat. Ciekawe, co może być przyczyną tego dziwnego zjawiska. Po wprowadzeniu (bardzo uproszczonej) poprawki na ten efekt, otrzymujemy histo-

gram po prawej stronie. Tutaj widzimy duże fluktuacje. Jednak bliższa analiza statystyczna wskazuje, że nie różnią się one wiele od fluktuacji całkowicie przypadkowych. Jak słusznie pisze prof. Michalski, badana próbka jest niezbyt wielka, więc trudno o definitywne wnioski. Co oczywiście w żaden sposób nie unieważnia jego apelu o zabezpieczenie się przez prognozowanym jesiennym atakiem pandemii.

ANDRZEJ BIAŁAS

Ewaluacja humanistyki

System ewaluacji poziomu badań naukowych jest bodaj najbardziej powszechnie krytykowanym elementem wśród wielu problemów, jakie ustawa i inne rozporządzenia ministerialne wprowadzają w codzienne życie uniwersytetów. Na tle powszechnego, tradycyjnego już narzekania na biurokrację, opinie dotyczące ewaluacji wyraźnie wyróżniają się intensywnością i natężeniem emocji. Nic w tym dziwnego, bo to ewaluacja właśnie dotyka boleśnie wszystkich bez wyjątku i to całkiem bezpośrednio. Powszechne oburzenie nie jest więc zjawiskiem nowym i nie zależy ani od aktualnie obowiązującej ustawy, ani od tego, kto akurat jest ministrem. Moja pamięć nie sięga dalej niż czasy Pani Minister Barbary Kudryckiej i mogę zaświadczyć, że już wtedy słyszałem częste głosy ostrej krytyki.

Konieczność zbierania i dokumentowania „punktów” jest oczywiście kłopotliwa dla wszystkich, chociaż mam wrażenie, że nieco łatwiej, chociaż również niechętnie, pogodzili się z nią tzw. ściślaczy, czyli przedstawiciele nauk przyrodniczych i technicznych. W tych środowiskach przyjęto ewaluację jako dopust Boży, z którym nie warto walczyć (tak jak nie warto kopać się z koniem), lecz, zgrzytając zębami, trzeba się po prostu dostosować, wykorzystując wszystkie sposoby, aby uzyskać jak najlepszy wynik.

Natomiast prawdziwą burzę wywołuje ewaluacja wśród przedstawicieli szeroko rozumianej humanistyki, którzy dowodzą, że jest ona dla tej dziedziny po prostu zabójcza. Sprawa wychodzi już daleko poza dyskusje wewnątrzakademickie. Ostatnio Gazeta Wyborcza zamieściła rozważania Pani Profesor Ingi Iwasiów z Uniwersytetu Szczecińskiego. Pani Profesor w doskonale skonstruowanym tekście, jak przystało autorce kilku powieści, nie zostawia suchej nitki na całym systemie.

Pierwszy, fundamentalny zarzut dotyczy jednostronności ocen, które zupełnie pomijają sprawę poziomu dydaktyki, oceniając uczelnię jedynie na podstawie poziomu prowadzonych badań.

Chociaż bez wątplenia poziom dydaktyki jest skorelowany z poziomem badań, to jednak współzależność nie jest idealna i całkowite ignorowanie dydaktyki w ocenie uczelni jest poważnym błędem. Wysłał mianowicie fałszywy sygnał, że poziom dydaktyki nie jest istotny. A przecież wszyscy doskonale wiemy, że kształcenie studentów jest pierwszorzędnym zadaniem uczelni i to wokół niego powinien koncentrować się główny wysiłek kadry i kierownictwa.

Również samo ocenianie badań jest, zdaniem Pani Profesor, oparte na fałszywych zasadach.

Chodzi o sławne punkty, które są przyznawane za publikacje w wytypowanych i „punktowanych” przez ministerstwo czasopiśmie. Pisałem już tyle razy o nonsensie tego pomysłu, że nie będę się powtarzał i mogę tylko przyklasnąć krytyce.

Stusznie też Autorka zwraca uwagę, że zasadniczym źródłem kłopotów jest po prostu brak wystarczających środków, których nie może uzupełnić – również niedofinansowany – system grantowy. I tu oczywiście też pełna zgoda, chociaż trudno mi zaakceptować widoczne w tekście poczucie rezygnacji i zniechęcenia.

Niedawno na łamach PAUzy problem ewaluacji podjął Profesor Urbańczyk (PAUza 605), skupiając się na porównaniu podejścia do ocen wśród „ściślaków” i humanistów. Co prawda, jak już wspomniałem, nie podzielałem poglądu, jakoby „ściślaczy” entuzjastycznie akceptowali numeryczne metody klasyfikacji wyników badań, to jednak trudno nie przyznać mu racji, gdy stwierdza, że dziedziny, gdzie istotą sprawy jest raczej dyskusja, wysuwanie wątpliwości i niezdolność do zaoferowania „ostatecznych” rozwiązań, winny być oceniane radykalnie inaczej niż dziedziny, gdzie celem są „twarde” wyniki. W pełni podpisuję się pod tymi тезami i mogę tylko dodać, że również i w tej sprawie zabierałem głos wielokrotnie i to nie tylko na łamach PAUzy.

Zgadając się więc z głosami krytyki i rozumiejąc dobrze frustrację, czy wręcz rozpacz humanistów, trudno mi jednak nie zwrócić uwagi na jeden mankament ich argumentacji. Brakuje mianowicie pomysłu, jak wyjść z tego impasu. Innymi słowy, brakuje propozycji, jak powinna wyglądać ewaluacja, która spełniałaby lepiej postulaty humanistów. Wydaje mi się, że bez podjęcia wysiłku w tym kierunku wszystkie te jeremiady, chociaż dobrze uzasadnione, z konieczności trafiają w próżnię. Nie sądzę bowiem, aby można było problem sprowadzić wyłącznie do kwestionowania dobrej woli tzw. decydentów. To w końcu też tylko ludzie, i nawet przy najlepszych chęciach nie są w stanie zaproponować dobrych rozwiązań bez intelektualnego wsparcia ze strony zainteresowanych, czyli kręgów doświadczonych humanistów uniwersyteckich.

Myszę więc, że najwyższy czas przejść do drugiego etapu debaty i podjąć próbę sformułowania postulatów POZYTYWNYCH, które, po odpowiednim opracowaniu, mogłyby zyskać poparcie większości zainteresowanych. Trzeba však znaleźć wreszcie wiążące odpowiedzi na ważne pytania: czym zastąpić niesławne punkty? Czy peer review jest dobrym rozwiązaniem i jak go zorganizować? Czy Polacy winni publikować raczej w Polsce, czy za granicą? itd., itd.

Nie jest to zadanie łatwe, wymaga pokonania różnych uprzedzeń oraz podjęcia sporego wysiłku organizacyjnego. Mam nadzieję, że znajdą się ludzie, którzy zechcą to zadanie podjąć i – co ważniejsze – znajdą poparcie środowiska. Wiadomo, że to ostatnie nie będzie proste, ponieważ każda ewaluacja z konieczności musi się wiązać z obciążeniami, co naturalnie czyni ją uciążliwą, niepopularną i wzbudzającą opór. Zazwyczaj naturalną reakcją jest pytanie: **po co nam w ogóle ta cała ewaluacja?**

Otóż na to pytanie istnieje prosta i, moim zdaniem, bardzo przekonująca odpowiedź:

choć zawsze uciążliwa i niedoskonała, ewaluacja jest NIEZBĘDNA, jeżeli chcemy uniknąć sytuacji, gdy urzędnicy ministerstwa (lub sam minister) będą przyznawali uczelniom środki w sposób zupełnie arbitralny, „po uważaniu”.

Mam nadzieję, że ta groźba, zupełnie wszak realna, skłoni środowisko humanistów do zjednoczenia wysiłków i poważnego zajęcia się tą sprawą. Z pozytywnym dla wszystkich, a przede wszystkim dla polskiej humanistyki.

ANDRZEJ BIAŁAS

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.
Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotoskład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

OCzekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.